

Grecki szlak do końca euro

Autor: Mateusz Machaj

W ostatnich tygodniach doszło do największego kryzysu w historii strefy euro i jednocześnie do jej najbardziej radykalnego przeobrażenia. Ten kryzys jest pierwszą, „miękką”, zapowiedzią katastrofy, która najprawdopodobniej czeka europejskie finanse w najbliższych dziesięcioleciach. Przeobrażenie natomiast jest twardym dowodem na to, że od strefy euro należy się trzymać jak najdalej. Jeśli ktoś miał pewne zastrzeżenia co do tego, czy warto w Polsce przyjąć wspólną walutę (bo wiążą się z tym istotne plusy), to od 10 maja nie powinien mieć specjalnych wątpliwości, że będzie to rozwiązanie szkodliwe.

Gabriel Laub stwierdził, że demokracja jest systemem, w którym nikt nie jest tak mało ważny, żeby nie mógł zaszkodzić innym. Wydaje się, że obecna sytuacja w Grecji dostarcza jednej z najbardziej brutalnych i skrajnych egzemplifikacji tego faktu. Tłumy, podburzane przez znane z tradycji bezpardonowego rabowania gospodarki związkowe i lobby budżetówki, rozpoczęły zamieszki, o których ktoś lakonicznie powiedział „Grecja rozpoczęła naszą cywilizację – teraz wygląda na to, że ją zakończy”.

O ile sama cywilizacja Zachodu póki co nie jest zagrożona, o tyle jej podstawy gospodarcze opierają się na bardzo chwiejnych fundamentach. Grecja jest oczywiście bękartem państwa dobrobytu, jednym z najlepszych przykładów społeczeństwa konsumpcyjnego, które nie przejmuje się ani deficytem budżetowym, ani długiem publicznym (można nawet ironicznie stwierdzić, że jeśli komuś marzy się Polska, w której się dobrze płaci urzędnikom i budżetówce, to niech spojrzy w kierunku Grecji). W dodatku od czasu powstania strefy euro była „pasażerem na gapę”, gospodarką napędzaną iluzją, że w razie kłopotów fiskalnych wszystkie inne państwa dokonają zrzutki na wykupienie bankruta. Niemniej jednak kłopoty Grecji są ostrzeżeniem dla całej Europy, ponieważ ukazują przyszłość, jaka prędzej czy później czeka inne kraje bloku.

Prawa ekonomii są nieubłagane: dobrobytu nie da się budować ciągłą redystrybucją środków za pośrednictwem urzędników. W długim okresie doprowadzi to do konsumpcji kapitału. Zadłużanie się państwa będzie skutkowało ciągle rosnącym długiem publicznym i koniecznością

ogłoszenia w końcu bankructwa – przez niemożliwość dalszego powiększania zadłużenia i spłaty dotychczasowego. Grecja będąc bankrutem skorzystała na wejściu do UE, podobnie jak kilka innych krajów bankrutów. Jednym z bodźców, które skłoniły kraje do stworzenia Unii Europejskiej była ciekawa symbioza między zbankrutowanymi krajami, takimi jak Grecja, czy Belgia, a Niemcami. Biedne kraje otrzymały bezpośrednią pomoc w postaci dodatkowych funduszy, a do tego korzystały w strefie euro z efektu zewnętrznego – dzięki temu, że należą do tej strefy mogły emitować dług publiczny oprocentowany niżej niż gdyby były krajem niezależnym. Bogatsze kraje z kolei uzyskały możliwość tworzenia prawa, które sprzyjało ich interesom – na przykład przez otwarcie „regulowanego rynku”, w którym rozmaite standardy europejskie promowały firmy z wybranych krajów. Ot, jeden z ważnych elementów merkantylistycznej Europy.

Niestety jednak łączenie zbankrutowanych państw razem może tylko rozmyć negatywne konsekwencje zadłużenia i pozwolić na parę „tłustych lat” życia na kredyt, ale nie uchroni przed koniecznością zapłaty rachunków. W obecnej sytuacji dodatkowym wybuchowym czynnikiem są wewnętrzne tarcia - Niemcom i innym krajom w relatywnie dobrej sytuacji fiskalnej wcale nie śpieszy się do pomocy bankrutującym Grekom. Głównie dlatego, że wiedzą, iż ta pomoc zostanie przejeżdżona, a oszczędności będą prowizoryczne. Do tego pojawia się kolejny problem – skoro Grecy mogą sobie wypłacać czternastki, szaleć na koszt całej UE i nie płacić za to rachunku, to dlaczego inne kraje mają się tym przejmować? Sytuacja fiskalna Irlandii, czy Hiszpanii wcale nie wygląda różowo, a rynek już zaczął dyskontować dług publiczny Portugalii. Bardzo możliwe, że Belgia lada moment przestanie być państwem, co będzie stanowiło wyzwanie prawne dla obecnej Unii a także zrodzi dotkliwy ekonomicznie problem przejęcia przekraczającego PKB belgijskiego długu publicznego.

Cywilizacja się na razie nie kończy, ale należy zdać sobie sprawę z tego, że obserwujemy właśnie największy kryzys polityczno-gospodarczy w Unii Europejskiej i strefie euro. W obecnej sytuacji możemy się pokusić o zarysowanie możliwego dalszego rozwoju wydarzeń. Być może UE razem z MFW uda się zamieść problemy pod dywan i oddalić obecne dylematy długów publicznych i deficytów tylko po to, aby obarczyć nimi kolejne rządy lub pokolenia. Tak czy inaczej, prędzej czy później problem musi powrócić. Wtedy wyjścia z sytuacji są dwa. Po pierwsze, może dojść do rozpadu strefy euro w jej obecnej formie i usuwania z niej niezdiscyplinowanych członków takich jak Grecja. Wówczas jednak otwierają się drzwi do rozpadu strefy, do którego mogłoby doprowadzić

występowanie z niej kolejnych krajów, częściowo bankrutujących, a częściowo oburzonych rzekomo twardą postawą Niemiec, które nie chcą finansować swych unijnych „partnerów”. Kraje usuwane ze strefy najczęściej doświadczałyby *argentynizacji*, czyli krachu na rynku długu (publicznego i prywatnego) wraz z postępującą dewaluacją.

Drugie wyjście natomiast, chyba bardziej prawdopodobne, to stworzenie jeszcze mocniejszego niż obecnie imperium europejskiego, w którym aparat prawny przejmowałby coraz większą kontrolę nad procesem stanowienia prawa tak, by utrzymać w ryzach rozpasaną konsumpcję środków publicznych w krajach takich jak Grecja. Wydaje się jednak, że do tego trzeba by było sprytnie przekupić albo skutecznie zaszantażować lokalnych wichrzycieli, bowiem uzwiązkowieni bojówkarze okazują się być dosyć mocną siłą polityczną.

Potwierdzeniem zastosowania drugiego wyjścia są niedawne deklaracje Europejskiego Banku Centralnego, które należy określić jako radykalne i przełomowe. W komunikacie EBC czytamy:

[Bank] przeprowadzi interwencje w strefie euro na rynku prywatnego i publicznego długu (Securities Markets Programme), aby zapewnić głębokość i płynność na tych rynkach, które są dysfunkcjonalne. Celem programu jest zaadresowanie problemów rynku obligacji i odtworzenie właściwego mechanizmu transmisji monetarnej. Zakres interwencji zostanie określony przez Zarząd. Przy podjęciu tej decyzji wzięto pod uwagę oświadczenia rządów strefy euro, że „zastosują wszelkie potrzebne środki do osiągnięcia celów fiskalnych w tym roku i w przyszłych latach zgodnych z procedurami nadmiernego zadłużenia” i dokładne dodatkowe zobowiązania niektórych rządów strefy euro o przyspieszeniu fiskalnej konsolidacji w celu utrzymania stabilności finansów publicznych.

W celu sterylizacji wpływu niniejszych interwencji zostaną podjęte specyficzne operacje, aby zaabsorbować płynność wprowadzoną przez Securities Markets Programme. To zapewni, że polityka pieniężna nie będzie naruszona.

O co chodzi w tym komunikacie i do czego zobowiązał się w nim EBC? Zdecydował się tak naprawdę na monetyzację (spieniężenie) długów publicznych, czyli skupowanie obligacji rządowych. Nie tylko greckich, ale w ogóle wszelkich długów publicznych w strefie euro. Tym jednym komunikatem EBC przekreślił wszystkie papierowe obietnice

o niezależności politycznej i dbaniu o siłę europejskiej waluty. W końcu stało się jasne to, co było oczywiste dla wielu przeciwników pieniądza dekretowanego: EBC nie stoi ponad ładem politycznym, ale jest głęboko w niego wpasowany i w razie kłopotów będzie drukował pieniądze na pokrycie długów państwowych. Tym samym wielu „realistycznym” zwolennikom strefy euro, sympatyzującym z poglądami prorynkowymi, został wytracony z rąk jeden z koronnych argumentów na rzecz zamiany złotego na euro w Polsce.

EBC próbuje przekonać naiwnych, że to rozwiązanie nie jest groźne, ponieważ rządy zadeklarowały się stosować do odpowiednich procedur związanych z dużym długiem publicznym. Procedur, które same uchwaliły, które same w przeszłości łamały i które same mają na sobie egzekwować. To chyba jeden z bardziej dobitnych przykładów bycia „sędzia we własnej sprawie”. Zresztą, dlaczego mamy wierzyć w to, że rządy dotrzymają procedur, które same wymyśliły, skoro nie jest w stanie tego zrobić rzekomo apolityczny bank centralny?

O co chodzi z „mechanizmem transmisji pieniężnej” i jego przywróceniem? W momencie wystąpienia kryzysu zaczęły rosnać stopy procentowe. W celu walki z tym wzrostem EBC obniżył swoje stopy procentowe. Problem jednak polega na tym, że są to krótkoterminowe stopy procentowe. „Rynek” natomiast, dostrzegając kiepską wypłacalność (realną lub nominalną) wielu instytucji w długim okresie, w tym rządów, zaczął podnosić długoterminowe stopy procentowe (nie znajdujące się pod bezpośrednią kontrolą banku centralnego), doliczając do rentowności instrumentów o dłuższej zapadalności premię za ryzyko kredytowe lub inflacyjne. Tak więc EBC stwierdził, że obserwowana dysproporcja między stopami długoterminowymi a krótkoterminowymi musi zostać zatrzymana poprzez druk pieniądza i kupno długu publicznego. A tak naprawdę chodzi o kupienie dodatkowego czasu dla bankruta.

Uderzający jest również drugi akapit oświadczenia. EBC zdaje sobie sprawę z tego, że będzie w ten sposób drukował pieniądze, co może stanowić potencjał inflacyjny. Zaraz się jednak asekuje, że przeprowadzi operacje „sterylizujące płynność”, czyli odciągające część środków od ekspansji pieniężnej, która mogłaby zostać nakręcona tym dodrukiem. Możemy się tylko domyślać, jaką formę to przyjmie, ale prawdopodobnie będzie to w tej czy innej formie odciążenie środków od sektora prywatnego. Co oznacza pogłębiony efekt wypychania, a więc redystrybucję środków od sektora rynkowego w stronę urzędniczej konsumpcji, której za pomocą wydatków publicznych dopuszcza się władza.

W zasadzie można by przytoczyć starą, do znudzenia powtarzaną opowieść o tym, że rządowe interwencje nie rozwiązują w długim okresie problemów, lecz prowadzą do kolejnych. Kraje zachodnie łudziły się, że *prosperity* można osiągnąć poprzez druk pieniądza i stymulowania gospodarki długiem. A jak sektor prywatny bogacił się pustym pieniądzem, to również korzystał z tego sektor publiczny (mając relatywnie wysokie wpływy podatkowe i niską cenę finansowania). Sęk w tym, że taka bańka się kończy, pociągając za sobą poważne kłopoty dla sektora publicznego.

Efektom tej mieszanki długu i inflacji jest konsumpcja kapitału i nieuchronny kryzys, w trakcie którego przychodzi czas na takie radykalne działania jakich podjął się EBC. Tym sposobem Unia czyni kolejny krok w już nie tak powolnej drodze do państwowego planowania, które wraca dużo szybciej niż się jeszcze niedawno mogło wydawać. Przerobiliśmy kolejną lekcję, że wzrostu gospodarczego nie da się tworzyć państwową polityką gospodarczą. Czy na pewno musimy znowu przerabiać lekcję, że państwowe planowanie nie będzie efektywnym systemem? Wbrew pozorom takich lekcji można się uczyć bez bezpośrednich doświadczeń.

Tak, czy inaczej, od strefy euro należy się trzymać raczej daleko. Polska powinna zreformować swój cały system bankowy i finansowy, bo wpaść w podobne jak Europa tarapaty można również mając płynnego złotego, ale to już temat na inną dyskusję.